

TADEUSZ KANNENBERG.

## STAŚ.

Staś miał 10 lat i był „oczkiem” najlepszej swej mamusi. Żył na wolności wesół i swobodny, jak skowronek w polu. Dziś wstał wczesno, chciał się wymknąć mamie...

— Nie uciekaj odemnie Stasieńku. Niech się napatrzę na ciebie. Tyle długich miesięcy nie będę cię widzieć. Ciężko będzie tę rozłąkę przeżyć!

Staś wtulił twarz w ręce matczyne, poczem wznosząc oczy w górę, wyszeptał: — Nie puść mnie od siebie!

Porwała Stasia w ramiona. — Stasieńku, jak możesz tak mówić? ty już musisz się uczyć naprawdę — już nie dziecko!

— To mi daj pożegnać się ze wszystkim, co tu zostawiam. — Wyrwał się z objęć i wybiegł przed drzwi.

Słońko zrzuciło właśnie ze siebie długie promienie sierpniowe, i przedzierając się poprzez złote liście drzew, srebrzyło obficie zimną rosę na murawie wielkiego gazonu przed domem.

Staś pieścił zażawionym okiem białe ściany dworu, dach gontowy, gdzieś tam z pleśni przegniły i po czerwonej rynnie okiem ześliznął się w dół. Podeszedł do kadzi pod rynną, ustawioną tam do „łapania deszczówki” i przechylił się wpół, oglądając swój okręcik, co go wczoraj tu na wodę rzucił.

— Biedny mój okręcik! — Nie zostawię cię tak dla nikogo. — Szybko zeskoczył, pochwycił opodal leżący kamyk i ciężarkiem zatopił okręcik. Ciche lzy spływały do wody.

Poryk krów wyrwał Stasia z chwilowego odrętwienia.

— To moja, ta z białą plamą na czole — wykrzyknął i puścił się pędem do krów, które ze dworu Antek wypędzał na paszę.

— Ty, słuchaj! ja jadę do gimnazjum, ale tobie zakazuję huśtać się na mojej huśtawce — pamiętaj!

Skoczył między drzewa do swojej huśtawki.

— Tylko raz jeszcze się pohuśtam — wysoko w górę. Gorzko mi w gardle. O jak to miło się dziś huśtać. Wietrzyk tak przyjemnie w twarz uderza. Huśtaweczko — — nie mógł dokończyć, zeskoczył i zaczął głośno sznury. Miał się jeszcze z kurkami i ze swoją „czubatą” pożegnać, ale uciekły w krzaki. Zająknął do stajni. Właził po drabinie na strych, skąd jednak zaraz się cofnął, usłyszawszy głos ojca.

— Staś! już czas. Idź żegnać się z mamą. Konie czekają. Trzy mile do stacyi.

Tak więc nadeszła ta najstraszniejsza w życiu dla Stasia chwila wyjazdu.

— Mamol nie puść mnie — ja nie chcę się

uczyć — nie chcę do gimnazjum — ja umrę bez ciebie!

— Moja ty dziecino najdroższa.

— Już dość, jak długo będę czekać? — burczał ojciec niby to groźnie, nadrabiając miną, w rozrzwinięciu na widok tego wylewu dziecięcej i matczynej bezmiernej miłości.

I tak Staś opuścił poraz pierwszy w życiu dom rodzicielski.

W drodze z nadmiaru wzruszeń i dlatego, że wczesno wstał, usnął.

— Zbudź się chłopcze! — Jesteśmy na miejscu!

Potrąceni i popychani przez tłum, wsiedli do skrzypiącej dorożki.

— Jakżeż ci się miasto podoba?

— Tu śmierdzi tatusiul!

— Nie gadałbyś głupstw — śpisz jeszcze. Słuchaj Stasiu, zostawię cię „na stancyi” u „pani”. Pamiętaj, bądź grzeczny. Uważaj, jesteś już przecie „mężczyzną”. Sam wracam zaraz, bo mam jutro sianokosy.

Ustawiczny hałas uliczny, ruch, tramwaje, automobile, wozy ciężarowe i podskoki, po nierównym bruku, roztrzęsionego powozu oszołomiły Stasia.

— Tatusiul? mnie się głowa kręci, jest mi niedobrze, wracajmy do domu!

Tymczasem dorożka stanęła przed wskazanym domem. Wyszła „pani”, sucha, długa, nieokreślonego wieku.

— Zostawiam Pani mego ukochanego chłopaka. Przywitaj się z panią.

Chwilę pogawędzili, ułożyli warunki „stancyi w lepszym domu” i ojciec się pożegnał, bo miał jutro sianokosy.

Staś przez cały czas nic nie mówił, tylko patrzył w koło rozszerzonymi oczyma. Dopiero gdy ojciec odjechał, rozplakał się na dobre.

— Wyrzekli się mnie — myślał sobie Staś i płakał dalej.

— Czego ty chłopcze płaczesz, skoro nikt ci nic złego nie robi? — Pani wstrząsała silnie ręką Stasia. Staś wyrwał się i uciekł w kąt pod drugie drzwi.

— O nie tam, bo mi moje dziecko zbudziś! — Jak chcesz beczeć, to w przedpokoju smarkaczul! — Uderzyła Stasia po rękę i wypchnęła za drzwi.

Skutek był momentalny. Staś przestał płakać od razu, tylko zmarszczył brew, usta zacisnął i zaczął nad czemś rozmyślać.

— Mnie jeszcze nikt w życiu nie uderzył... — Żle być sierotą... ale ja nie będę!

Chwycił za kapelusik i cichutko wymknął się z mieszkania „Pani”.

— Proszę pana, którędy na kolej?

— Jak szyny tramwajowe.

I Staś pobiegł. Nie zważał ani na ludzi, ani na ruch, tylko biegł obok szyn tramwajowych, aż stanął przed dworcem.

— Proszę pana, kiedy pociąg odchodzi?

— Wieczór.

Staś siadł w kąciaku. Ludzie kręcili się tam i z powrotem. Każdy gdzieś się spieszył. Staś uczuł głód, lecz bał się ruszyć, by się nie zaślakać. Skulił się jeszcze bardziej i pilnie wypatrywał pociąg. Nareszcie pociąg zajechał i Staś prędko wskoczył do wagonu. O czwartej nad ranem wysiadł na malej, pustej stacyjce. Do domu miał trzy mile.

Staś nacisnął kapelusik i poszedł żwawo, wszak do mamy szło biedactwo. Zapusił się w gęsty las. Jeszcze ciemno było. Szedł długo. Nożęta go zbolaly. Co chwila robiło mu się gorąco, to zimno. Bał się stanąć, lepiej iść wciąż. Wojsko śpiewa w marszu. Staś słyszał o tem, więc zaczął śpiewać, lecz zaraz po pierwszych tonach głos w gardle mu zamarił ze strachu. Ktoś mu odpowiadał? ktoś go przedrzeżniał? Staś zaczął biedzić. Upadł, podniósł się i biegł dalej — rowtarzając półgłosem bezustanku — do ciebie mamusiu, do ciebie mamusiu...

Zaczęło szarzyć. Górą porwał się wiatr. Las zaszumiał. Staś biegnąc patrzy, a tu sosny kłaniają mu się w pas i postępują żałośnie suchymi konarami. Staś stanął, lecz chwiał się na nogach. Patrzy, a przed nim jedno jedyne drzewo, rozłożyste, srebrne, nie kłania się, tylko wstrząsa listkami i śmieje się do Stasia.

— Litujesz się nademną — nad biedną sierotą — „Pani” mnie biła, do ciebie mamusiu... bełkotał w gorączce i usunął się bezwładny pod pień pięknej brzozy, samotnie wśród lasu rosnącej.

Dreszcz Stasiem wstrząsał, raz po raz — oczy się zaszklily i słupem stanęły. Chce wstać, a nie może. Chce podnieść nogi, a one już mchem pokryte w ziemię coraz głębiej wchodzą, po przez jakieś pnie, jakieś korzenie, pchają się, wzrastają i bolą, ach jakże bolą. Staś bo rąk już nie ma, w oczach rosną mu one we wielkie konary, pokrywają się liśćmi i szumią. Wiatr wykręca niemi w niemożliwy sposób i bolą, jakże tu iść do domu, kiedy musi się być drzewem i musi się szumieć skargę bolesną.

Staś przestał czuć cokolwiek...

Długo, bardzo długo potem ktoś zaczął ze Stasia zdierać powoli mech, korę, gałęzie, wszystko delikatnie i bez bólu. Stasiowi robiło się coraz lżej, coraz przyjemniej, aż wreszcie wesicnął głęboko i nie ruszając się z miejsca, oczy szeroko otworzył.

Co to — nie las? Staś w łóżku — nie pod drzewem?

— Mamusiu? toś ty ze mnie korę zdjęła? Mamusiu kocham ciebie — ale „na stancyę” już nigdy nie pójde?

— Nigdy, już nigdy, Stasieńku najdroższy.



## Z frontu wschodniego.

Ponawiane kilkakrotne ataki bolszewickie na nasz front rozbiły się o żelazny pierścień polskich stanowisk, które silnie umocnione dają gwarancję bezpieczeństwa przed rozlewem rosyjskim.

Jednym z najbardziej wytrwałych odcinków jest ten, na którym znajduje się krakowska trzynastka. Pełen otuchy i dobrej wiary dzielny żołnierz krakowski ma w sobie głębokie poczucie obowiązku i dobrą świadomość zadania, które na niem spoczywa, nie dając się unieść tysiącom odezw, które wśród nich ciałająca się czerwona armia rozrzuca.

Życie pałuje tu swobodnie i pełne nadziei, że po zwycięskich walkach dotychczas i na przyszłość droga pochodu nie będzie inaczej się znaczyć.

Często zamieszczaliśmy już zdjęcia z odcinka trzynastki. Obecna ilustracja przedstawia oddział karabinów maszynowych z por. Jaworskim i sierżantem jedn. T. Godłowskim.

